

Godło: **PRZEDSEN**

z Bułhakowa

z Bułhakowa, o którym żaden z nich
nie usłyszy, człapiąc, senni wychodzą – ogorzali, surowi
w tych kudłatych kożuchach. idą, tupią i gubią
w błocie ukośne cienie. grzeją ciała
kamforą, nieśmiertelną piersiówką.

ich leniwe kobiety zanurzają kłęb
włosów w nafcie – przeciw insektom. usychają
jak długie, ciemne liście tytoniu
nocami kradzione z pól.

ich dzieci na przypieckach myślą czarny
podpłomyk, latem z luftu na strychu liczą wstążki
konduktów. w tornistrach nieotwarte
książki, proca, atrament i lepkie plamy
tłuszczu, i ogryzki owoców.

tutaj wieczne jesienie, fermentacje w galonach,
wiadro spada w krtień studni, rdza w poświacie
miesiąca. coś przemija, co chrzęści i się nigdy
nie stanie, chłód
kuśtyka polami – trzeszczy w krokwiach
i w kościach...

Z Lechonia

pod kreską trzeszczą grzyby, zawiązuje się
lód – puchnie w sękach, rozsadza
czarne, rozchwiane klepki kawalerki poety – liże kanty
przedmiotów.

usypują się wiersze przewiązane
sznurówką. w nieprzeszkłonej gablocie
sterty zbutwiałych książek, rozgniecione
skorupy tanich, pstrych bibelotów, pęk staroświeckich
kluczy, które nic nie otworzą. mucha
topi się w słoju. śmierdzą śledzie w konserwie.

przychodzą tutaj czterej w robotniczych drelichach
zabrać szafę i łóżko, gdzie dokonał
życiów – obcas depcze erotyk. zaraz
omiotą ściany, spalą listy i wiersze – słowa
fruną i zgasną, znacząc
blizny w powietrzu.

Z Sosnowskiego

*Losy tych dzieci nie budzą ciekawości.
Dzieci tych dzieci już chyba nie będzie
w godzinie czarnej od wielkiego słońca
kiedy czas zrobi salto i zapadnie noc.*

A. Sosnowski, Pomona i Wertumnus

ulicą lepką od światła:
od drgających płomyków w drobnych, stłuczonych szkiełkach,
wloką się tłuste cienie. jest upiornie
gorąco – na wyludnionych skwerkach drzewa
wierne Pomonie dyndają
załączkami drobnych, cierpkich owoców. dalej drzemiący
szpaler dzikiego, czarnego bzu – pamiętasz, jak rwaliśmy
garście miękkich koralu – plamiły trującą
krwią i paliły języki jak ogień: wtenczas w czarnej godzinie
cedzącego się soku – wleś się leżąc w trawie pod kopułą
gałęzi, rozdierany torsjami – naraz czas
zrobił salto, jednak nie, nie umarłeś. nie wiem,

o czym szeptałeś nocą starej Pomonie, miałeś coś
z Wertumnusa. potem, kiedy dorosteś, zabraniałeś swym synom
granatowych owoców; nigdy nie zasadziłeś żadnych
krzewów w ogrodzie. dlatego odjechali, dźwigając
w walizkach cienie: liście, krzaki spod okien. człapałeś

po pokojach w przydeptanych pantoflach. nie lubiłeś
wychodzić, nie lubiłeś przemykać leniwymi skwerami,
gdzie szpaler nadal plami koralową trucizną. jednak pamiętasz –
jadłeś ze mną krwawe owoce, zanim czas
zrobił salto, wtenczas: w czarnej
godzinie cedzącego się soku...